

Szymańska-Horban, Irena

Moje refleksje po przeczytaniu książki pana Jerzego Kalety

Przegląd Pruszkowski nr 1, 39-42

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Moje refleksje po przeczytaniu książki pana Jerzego Kalety

Ostatnio przeczytałam książkę kolegi Jerzego Kalety „Pruszków przemysłowy” – otrzymałam ją od autora z prośbą o ocenę. Jestem pełna uznania dla jego pracy i dociekliwości. Wiele dokumentów przepadło i pan Jerzy musiał włożyć dużo wysiłku, by zdobyć potrzebne wiadomości.

Dużo miejsca zajmuje wspomnienie pana Jerzego o Porcelicie – pracował tam wiele lat i nic dziwnego, że z takim sentymentem mówi o tej zlikwidowanej fabryce.

Wiemy, komu zawdzięczamy zniszczenie naszego przemysłu – trudno mi o tym mówić – nie czuję się do tego upoważniona.

Ale... wróciły i moje wspomnienia – wspomnienia dziecka, które urodziło się i wychowało w Pruszkowie, które bawiło się z kolegami i koleżankami na terenie innej, znanej, już dawno nieistniejącej, fabryki.

Przecież mój dziad, Jakub Szymański, pracował w fabryce fajansowej – przybył tu z Koła wraz z innymi (między innymi z ojcem Henryka Pawełczyńskiego, którego wspomina autor pracy „Pruszków przemysłowy” na str. 54).

Z pracy pana Jerzego możemy dowiedzieć się o warunkach mieszkaniowych – należy pamiętać, że w XIX



wieku domy nie były skanalizowane. Społeczeństwo korzystało z publicznych łaźni.

Pierwsze skanalizowane domy w Pruszkowie zaczęto budować w latach trzydziestych XX wieku. Z tego okresu pochodzą budynki przy ulicy Kraszewskiego, Drzymały, Chopina i Kościuszki. Nie wszystkie mieszkania wyposażone były w łazienki, niektóre posiadały tylko toalety.

Kazimierz Nower, który wybudował kamienice przy ul. Chopina był synem Dawida Nowera, założyciela fabryki ultramaryny. Początki jej sięgają 1903 roku. Była to mała wytwórnia farbki w Warszawie. Prawdopodobnie założyli ją Emil Sommer i Dawid Nower. W roku 1909 Nower kupił teren w Pruszkowie. Mój ojciec, który pracował w fabryce od jej powstania (w roku 1935 obchodził 25-lecie pracy), nigdy nie wspominał Sommera.

Dawid Nower był wysokiej klasy specjalistą – farbka nadawała się nawet do bielenia cukru, zwanego kryształem. Nower tajemnicę produkcji przekazał memu ojcu – gdy umierał, zażądał, by ten przysiągł, że nikomu nie zdradzi tajemnicy produkcji, nawet synowi Kazimierzowi – ojciec mój słowa danego dotrzymał...

Farbka produkowana w fabryce pruszkowskiej była znana na rynkach zagranicznych. Pamiętam jak po Powstaniu Warszawskim mój ojciec rozmawiał z panem Wernerem, właścicielem drugiej fabryki ultramaryny w Polsce. „Dwóch nas było królów farbki”, mówił pan Werner, „ale ja chyłę czoło przed panem – takiej, jak pan, panie Władysławie, nie umiałem zrobić”. Cóż, minęły lata – niewiele osób pamięta znak firmowy fabryki: lew koloru ultramaryny – „Sommer i Nower” – napisu dokładnie nie pamiętam. Dzisiaj farbka jest już niepotrzebna – są inne środki, którymi



Władysław Szymański

można uzyskać biały kolor bielizny, ściany czy cukru.

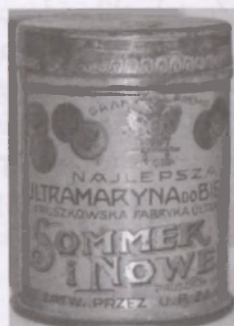
Pamiętam w suszarni te blachy pełne ultramaryny – wydawało się, że wszystkie są jednakowe. Dopiero, gdy rozcierało się farbkę nożem na gładkiej powierzchni, widać było różnicę – jeden proszek to nieomal pyłek delikatny, inny – to farbka, w której wyczuwało się grudki. A gatunków było, jeśli pamięć mnie nie myli, około trzydziestu.

Do fabryki wchodziło się od strony ulicy Bolesława Prusa – należało przejść przez kantorek – wejścia strzegł „cerber”. Pamiętam pana Kajdla, który nie dopuścił, by ktoś obcy „przemknął” na teren fabryki. Brama wjazdowa była zawsze zamknięta. Teren, należący do fabryki był duży. Po prawej stronie głównej bramy stał dom – kiedyś była tam kuźnia (róg ulic Bolesława Prusa i Armii Krajowej), po lewej stronie teren fabryki ciągnął się wzdłuż ulicy Kościelnej do ulicy Komorowskiej – komin był najwyższy w Pruszkowie. Wyziewy z komina nie były przyjemne, bo do produkcji farbki potrzebna była siarka. Z tego powodu proces wypalania odbywał się w Stachówku – pracownice pracujące w tej hali musiały nosić maski ochronne.

O godzinie 12.00 rozlegał się gwizd z komina wzywający do przerwy obiadowej, która trwała godzinę.

Po godzinie 16.00 mogłam wraz z koleżankami i kolegami bawić się na tym dużym terenie. Nie wolno nam było wchodzić do żadnych pomieszczeń. Często zabawiał nas swymi dowcipnymi opowieściami palacz z kotłowni – lubił dzieci, a my darzyliśmy go wielką sympatią. Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Kowalski.

Po śmierci Dawida Nowera jego żona i dzieci całkowicie powierzyli zarządzanie fabryką memu ojcu.



Wojna zastała Kazimierza Nowera za granicą – w Polsce pozostała jego matka, siostra Helena (mąż jej zginął w Katyniu) i siostrzenica Irena, które podzieliły los swoich rodaków. Były w getcie.

Dzięki mojej matce i ludziom dobrej woli wy dostały się z tego piekła, przeżyły wojnę, a po jej zakończeniu wyjechały do Australii.

Co działo się z fabryką w czasie wojny? Była pod zarządem niemieckim. Ojciec pracował nadal – przyjmował do pracy wiele osób, by dać im możliwość zarobku i konieczny *ausweiss*. Pan Jerzy w swej pracy mówi, że nie było produkcji. Z tego, co mi wiadomo – była – nie produkowano wszystkich gatunków farbki, tylko te gorsze.

W pewnym momencie zarząd niemiecki z zaprzyjaźnionymi Polakami (sic!) postanowili okradać fabrykę – ojciec mój był bardzo niewygodny, ponieważ nie pozwalał na to. Został pobity i usunięty z pracy. Na szczęście wyleczył się z zadanych ran – miał prawdziwych przyjaciół, którym często pomagał – teraz otrzymał pomoc – dostał pracę w Warszawie.

Wojna wkrótce skończyła się. Wrócił do „swej” fabryki, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie wrócą czasy przedwojenne. Dyrektorem został działacz partyjny, który miał skończone dwa oddziały szkoły podstawowej – na szczęście szanował mego ojca. Gdy UB aresztowało ojca, wyratował go robotnik przedwojenny, który wiele zawdzięczał memu ojcu. Ojciec wkrótce został z pracy zwolniony. Zmarł w 1957 roku. Fabryka nie miała szans przetrwania. Została zlikwidowana.

Obecnie znajduje się tam przedszkole. Mój ojciec, mimo że nie był właścicielem tej fabryki, ale pracował w niej całe swe dorosłe życie, strzegł jej majątku nie tylko w czasie drugiej wojny światowej, ale i w czasie pierwszej.

Sądzę, że cieszyłby się, że na terenie ultramaryny bawią się dzieci – kochał wszystkie – te ładne i te brzydkie, te grzeczne i te nieznośne...